

Teatr wysokiej kultury

Korespondencja z Moskwy — Augusta Grodzickiego

Moskwa jest olbrzymia. Ma mnóstwo znakomitych teatrów, zawsze zapełnionych do ostatniego miejsca. A jednak w tym ogromie i w tym bogactwie teatralnym artyści nasi nie czują się zagubieni i obcy. Na każdym kroku i ze wszystkich stron spotykamy mnóstwo dowodów serdecznej przyjaźni i żywego zainteresowania. Po pięciu dotychczasowych występach wydaje się im, że znajdują się wśród swoich i w dobrze znanym mieście. Kiedy się patrzy na to, rozumie się tym dobitniej, jak wielkie znaczenie dla zbliżenia narodów ma wymiana kulturalna.

Co za publiczność!

— Co za publiczność! Jak oni słuchają każdego słowa! Jak nieomylnie reagują na każdą kwestię! — mówią nasi aktorzy. Przesłaliśmy się już dziwić, że ludzie potrafia tu spędzić całą noc przed kassą teatralną, by zdobyć bilet na jakiegoś specjalnie atrakcyjnego przedstawienie. Do takich atrakcji należą już występy Teatru Polskiego. Wiedzą tu o nich wszyscy.

Kiedy raz po przedstawieniu prześwietnej komedii muzycznej, przerobionej ze starej sztuki Sheridan — „Dzień przedziwnych złudzeń” w Teatrze Dramatycznym im. Stanisławskiego, znaleźliśmy się daleko od hotelu, nie znając zupełnie drogi, przystąpił do nas jakiś młody człowiek, który z narzeczoną był również w teatrze. Poznawszy, że są to aktorzy polscy, od razu ofiarował swe usługi i zaprowadził nas do samego hotelu, prosząc tylko usilnie: — „Wystarajcie się dla mnie o bilety na waszego jutrzejszego „Cyda”. Widziałem go w wykonaniu Comédie Française, która tu niedawno była i chciałbym porównać oba przedstawienia, a nie można się ani rusz dostać!”

Okazało się, że ów młody człowiek mieszka 30 km od Moskwy, a do teatru dojeżdża...

O podobnych wypadkach pasji teatralnej i równocześnie doskonałej orientacji w zagadnieniach teatru opowiadali wielokrotnie nasi aktorzy na podstawie doświadczeń, zdobytych w dziennych i nocnych wędrowkach po Moskwie, przypadkowych spotkaniach i rozmowach.

Dowodów niezwykłej kultury teatralnej jest tu więcej. Należy do nich i muzeum teatralne, które w znakomity sposób obrazuje rozwój teatru rosyjskiego i radzieckiego, a w wystawach okresowych pokazuje dokładniej różne jego fragmenty. Wystawy te wędrują potem po odległych miejscowościach Związku Radzieckiego, gdzie ludzie dowiadują się dzięki temu, kim był Szczepkin czy Jeremiołowa.

A urządzenia techniczne w teatrach! W tym też przejawia się troska o teatr i aktorów.

— Redaktorze — mówi mi Jerzy Leszczyński, popijając herbatę w dobrze zaopatrzonej bufecie za kulami Teatru Małego. — Co za urządzenia! Pomyślcie — 30 eardorów, kiedy u nas w Warszawie w Teatrze Polskim mamy dziś wszystkiego — 8. Jaka czystość! Wygoda...

Gościnne łamy prasy

Do serdecznego nastroju wokół występów Teatru Polskiego przyczyniła się także prasa. Dawała ona nie tylko informacje o przyjeździe naszego zespołu i o pierwszych występach, ale i dłuższe artykuły. I tak pismo „Sowiet-skaja Kultura”, obok dużej fotografii, zrobionej po przy-

jeździe na Dworcu Białoruskim, zamieściło artykuł B. Rostockiego o historii naszego teatru. W moskiewskiej „Prawdzie” o teatrze polskim pisał B. Gorbатов, w „Izwestiach” i w „Wieczerniej Moskwie” ukazały się wywiady z dyrektorem Bronisławem Dąbrowskim. Mamy też bardzo serdecznych przyjaciół w członkach tych zespołów radzieckich, które występowały w Polsce. Jeden z nich, Teatr im. Wachtangowa, ogłosił we wczorajszym numerze dziennika „Trud” wzruszające „Pozdrowienie dla polskich przyjaciół”.

No i recenzje. W „Sowiet-skoj Kulturze” o „Lalce” pisze dyrektor Teatru im. Wachtangowa A. Abrikosow, o „Mężu i żonie” — dyrektor Teatru im. Mossowietu J. Zawadzki, nazywając przedstawienie to „pełnym blasku, swawoli, dowcipu, szybkiego rytmu, wesołości i mistrzostwa”. O Romanównie pisze: „to wspaniała mistrzyni i uroczą aktorka”. Podziw budzi w nim szeroka skala talentu Jana Kreczmara, którego widział w Polsce w roli Cackiego w „Madremu białym”. Również dla pozostałych wykonawców Zawadzki ma słowa wysokiego uznania.

W dzisiejszych „Izwestiach” ukazało się obszernie, zajmujące duży odcinek, omówienie trzech naszych przedstawień „Lalki”, „Juliusza i Ethel” i „Męża i żony” pt. „Teatr wysokiej kultury”. Autorem omówienia jest A. Sołodownikow, dyrektor Centralnego Zarządu Teatrów Radzieckich.

W przedstawieniu „Lalki” autor recenzji podkreśla soczystość i wyrazistość w charakterystyzowaniu postaci powieści, staranne pokazanie obyczajowych szczegółów epoki, mistrzowską grę aktorów. W „Mężu i żonie” Sołodownikowa zachwycą doskonałość gry aktorskiej, iskrzące się dowcipem dialogi, żywość, elegancja, bogactwo gestykulacji i scenicznej dynamiki. Najwyżej stawia Sołodownikow przedstawienie „Juliusz i Ethel” Kruczkowskiego.

„Głęboko czujemy i rozumiemy — pisze Sołodownikow — dramat dwójga prostych ludzi z wielkim mistrzostwem ukazany przez dramaturga i skłaniamy głowę przed ich męstwem. Tacy nie umierają! Przeszło zaledwie trochę więcej niż dwa lata od czasu kaźni Rosenbergów i teraz w sztuce polskiego pisarza, dzięki mistrzostwu aktorów, postacie ich ożywają i długo będą wzruszały nie tylko współczesnych, ale i przyszłe pokolenia”.

Największą wartość przedstawień, reżyserowanych przez Bardiniego, Sołodownikow widzi w harmonii treści i formy, w tym, że teatr znalazł dla nowych bohaterów nową formę sceniczną. Bardzo wysoko ocenia sztukę Haliny Mikołajskiej i Tadeusza Kondrata. Sumując swe wrażenia z dotychczasowych występów Sołodownikow stwierdza:

„Mamy przed sobą teatr wysokiej kultury sceniczej, władający dużym mistrzostwem w najróżniejszych rodzajach. Zespół Teatru Polskiego posiada wielu utalentowanych reżyserów i znakomitych aktorów. Jego artyści odznaczają się subtelnym smakiem i godną pochwały starannością w opracowaniu dekoracji, rekwizytów i kostiumów. Dla twórczości teatru charakterystyczna jest miękkość, delikatność i szlachetność w posługiwaniu się środkami scenicznymi”.

I na zakończenie Sołodownikow życzy Teatrowi Pol-

skiemu dalszych sukcesów w Moskwie.

Pod wrażeniem uroku „Cyda”

Takim sukcesem było przedstawienie „Cyda” w reżyserii E. Wiercińskiego. Roman-tyczność adaptacji Wyspiańskiego przyjęła publiczność ze zrozumieniem i poddała się urokowi przedstawienia. Zachwyt wzbudziły piękne dekoracje Teresy Roszkowskiej.

Pozostały jeszcze dwie sztuki: „Takie czasy” Jurandota, którą wystawiono w środę i „Obcy cień” — w czwartek. Jurandot, który również znajduje się w Moskwie, omawia z dwoma tłumaczami dokonywany już przez nich przekład swojej komedii, która w niedalekiej przyszłości ukaże się na scenach Moskwy i Leningradu.

Tych dwóch przedstawień nie zdołamy na razie obejrzeć w Teatrze Małym. Nadarza się bowiem okazja wyjazdu na dwa dni do Leningradu, dla zobaczenia piękna tego miasta. Trudno się oprzeć tej pokusie.

Nowe dni starych Chin

Chińska Republika Ludowa dumnie i radośnie obchodzi swe pięćdziesiąte urodziny. Dumnie, bo osiągnięcia pracowników narodu, wolnego od ucisku mandarynów i euro-amerykańskich kolonizatorów — są tak ogromne, że budzą podziw całego świata. Radośnie wita 600-milionowy naród chiński swe pięćdziesiąte, gdyż perspektywy rozwoju tego najwęższego w świecie kraju stają się coraz rozleglejsze.

Chiński mur istnieje, ale tylko jako rekwizyt muzealny; inne kolosy wznośli się teraz „w krainie bambusowych domków”.

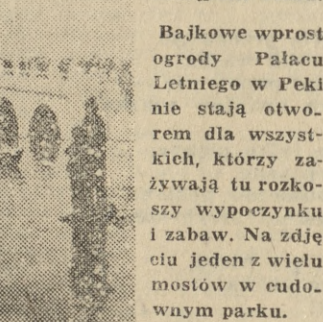
W ramach wielkich robót irygacyjnych wybudowany został na rzece Jangtse olbrzymi basen, który raz na zawsze wyzwoili trzymilionową ludność Kianghan od klęski powodzi.

Na zdjęciu u góry: tama na Jangtse długości 337 m.

Prowincja Sinkiang leży na krańcu Chin Północno-Zachodnich. Dzisiaj nie jest ona już oderwana od wielkich centrów przemysłowych. Droga lotniczą przewozi się teraz do



odległych krańców towary konsumpcyjne w regularnych odstępach czasu.



Bajkowe wprost ogrody Pałacu Letniego w Pekinie stają otworem dla wszystkich, którzy zażyją w rozkoszy wypoczynku i zabaw. Na zdjęciu jeden z wielu mostów w cudownym parku.

W mieście Huangszih (Chiny Środk. - Pol.) powstała jedna z największych cementowni produkująca „mąkę”, z której powstaną nowe, wielkie budowle. (n.)



Warszawa — nasza ukochana stolica jest coraz piękniejsza — buduje ją cały naród.
Na zdjęciu: Fragment dojazdu z placu Teatralnego do Trasy W-Z. CAF — fot. Miedza

Nad sztucznym jeziorem Nowej Huty zakwitną palmy i ananasy

Reportaż specjalnego wysłannika redakcji

Tytuł jest trochę przesadzony. Ale tylko trochę. Wprawdzie palm nie będzie, ale inż. Ptaszycki nie ma żadnych wątpliwości, że z półdokoła kombinatu im. Lenina zbierać się będzie wspaniałe plony ryżu, kawonów,

bawełny, herbaty i innych podzwrotnikowych roślin.

Czytelnikowi należy się kilka wyjaśnień. Przede wszystkim — skąd w Nowej Hucie jezioro?

Z centrum miasta będzie kilka kroków

Teraz go jeszcze nie ma, ale za kilka, a najwyższej kilkanaście miesięcy mieszkańcy pierwszego w Polsce socjalistycznego miasta będą zażywać kąpieli i przejażdżek łódkami po spokojnej tafli sztucznego jeziora. Teren, został już wybrany — przyszły basen wodny o przeszło kilometrowej długości i około 700 m szeroki jednym bokiem otrze się niemal o samo centrum Nowej Huty — z nadbrzeżnego bulwaru na plac centralny, gęsto już zabudowany 5—6 piętrowymi blokami — będzie kilkanaście załedwie kroków. Dla uzupełnienia podamy, że nad jeziorem zbuduje się kąpielisko i przystań wodną oraz że pomiędzy miastem a kombinatem powstanie drugie — już nieco mniejsze jezioro.

Sprawa druga — ryż i ananasy

Miesiąc temu mieszkańcy Nowej Huty zebrali pierwsze plony ze swych ogródków, których kolonia licząca 350 działek ciągnie się długim zagonem obok osiedla A. Nie było jednak wśród nich specjalnych nowości — ot, zwykłe pomidory, kapusta, ziemniaki... Ale tutaj, w tym mieście niespodzianek twórcza myśl inżyniera zespoliła się z doświadczeniem ogrodnika: postanowiono mianowicie wykorzystać ciepło wytwarzane w fabrykach. Wokół kombinatu stworzy się szeroki pas inspektowej uprawy roślin typowych dla gorącego klimatu. Ziemia tutaj dobra, przy użyciu nawozów da wystarczający pokarm nowym kulturom, a życiodajne ciepło kombinatu, płynące rurami po okolicznych polach, zasilane ciepłem słońca — przyspieszy ich rozwój i dojrzwienie. Tak więc zanoszą się na to, że za parę lat w krakowskich „Delikatessach” kupować będziemy orzeźwiający ryż, ananasy, czy pieprz „made in Nowa Huta”.

Pozostaje jedna wątpliwość: czy nowym pionierskim uprawom nie zaszkodzią wylęwy gigantycznego zespołu wielkich pieców i fabryk? Inż. Tadeusz Ptaszycki, główny projektant miasta Nowa Huta, pokazuje nam gesty, rudawy dym, zasnuwający niebo nad kombinatem i mówi:

— Za kilka dni zniknie ten kłopot. Huta otrzyma specjalne urządzenia pochłaniające dym, który stanie się cennym surowcem wyjściowym do wytwarzania wielu produktów chemicznych...

Dla informacji: rozmowa miała miejsce kilkanaście dni temu i dziś zapewne Nowa Huta już uporowała się z problemem fabrycznych wylęgów.

Co zyskuje człowiek?

Plac centralny... dziś jeszcze opasany siecią rusztowań, ale w niektórych jego blokach mieszka już ludzie. Oddane do użytku w okresie od czerwca bieżącego roku ciągną się one wzdłuż promieniście zbiegających się na placu, szerokich ulic.

Nowa Huta liczy dziś około 60 tys. mieszkańców. Od początku realizacji wielkiej budowy, czyli od 1950 roku w mieście tym oddano do użytku 25 tysięcy izb mieszkalnych i przeszło 200 różnych rodzajów obiektów socjalno-usługowych. Nowa Huta ma już blisko 100 sklepów, 20 stołówek, barów i restauracji, 5 szkół, tydzień przedszkoli, 4 żłobki, 11 świetlic i klubów, własny teatr i dwa ruchome kina, mechaniczną piekarnię, szpital i stację telefoniczną. W przyszłym roku oddany zostanie do użytku teatr „kameralny” na 450 miejsc, kino na 850 miejsc, dalsze oddziały szpitalne, wielki stadion sportowy, dwie szkoły zawodowe; ponadto do planu na rok 1955 wchodzi budowa przetwórnicy mięsnej, wielkiej młeczarni i wytwórni wód gazowych. Są to jedynie najważniejsze obiekty, świadczące o imponującym, prawdziwie socjalistycznym rozwoju miasta, którego jeszcze przed czterema laty nie było na mapie...

Nie warto się martwić o dziury w płocie

Przechodząc obok wielkich domów i świeżo zasianych trawników, patrząc na szerokie, pulsujące wielkomiejskim ruchem arterie komunikacyjne, trudno oprzeć się wrażeniu, które jest najściślej związane z pojęciem Nowej Huty — wrażeniu młodości tego nowoczesnego giganta. Młode jest miasto, młodzi w nim mieszkają ludzie, młódzie buduje domy, ulice i sam wielki kombinat. Trudne tu jeszcze życie — pełno kurzu na ulicach i mało zieleni w śródmieściu, nie we wszystkich blokach są pralnie, a w sklepach i zwykłej pasty zabraknie, gdy nie zdążyła dobieść na czas. Ale murarz Jan Odrodzkiński, czy inżynierowie Krzybański, Rembiński, Fołtyn i tysiące innych mieszkańców Nowej Huty, którym Polska Ludowa dała wykształcenie i zawód, pracę i możliwości szybkiego awansu — nie martwią się o rzeczy, które za rok lub dwa przestaną być problemem. Czy warto zresztą martwić się o dziury w płocie, gdy woła coraz szybciej rośnie polski Magnitogorsk?

K. BRZEZAŃSKI



Księgarnia Klubu MPIK cieszy się wielkim zainteresowaniem. Pracownicy naukowi przeglądają nowości radzieckie. Trzeci z lewej prof. dr Czekalski (w berecie).

Listy w sprawach kultury

O klubie MPIK pod adresem „ojców miasta“

Zna ten Klub bardzo dobrze każdy poznaniak. „Nie trzeba go więc reklamować“, powiecie zapewne Obywatelu Redaktorze? Nie reklamę też, pisząc te słowa, mam na celu. Sprawa jest poważniejsza...

Odczyty i wieczory artystyczne w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki mają już swoją dobrą tradycję i liczne grono entuzjastów, których niestety nie zawsze może pomieścić szczypta sala. W ostatnim okresie odbył się wieczór poświęcony X rocznicy wyzwolenia Bułgarii, a na październik planowana jest impreza z okazji V rocznicy proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej. Usłyszymy na niej koncert melodii nadanych z oryginal-

Zagubiona grafika

Można sobie wyobrazić zdumienie członków jury konkursu na plakat „Przegląd Filmów Polskich 1944–1954“, gdy na posiedzeniu w dniu 6 września br. w Warszawie, w Zarządzie Głównym Związku Polskich Artystów Plastyków...

„Ale zacznijmy od czegoś innego. Można z całą stanowczością stwierdzić, że niedużo w Poznaniu wiemy o pracy i sukcesach artystycznych grafików z naszego środowiska, którzy cieszą się dużym uznaniem na licznych konkursach ogólnopolskich. Prawie bez echa mijają tu wyniki konkursów artystycznych, w których osiągnięcia poznanskich plastyków oceniane bywają niekiedy szczególnie wysoko.

Zrobmy pobieżny tylko przegląd tych osiągnięć w okresie od maja ub. roku. W ogólnopolskim konkursie na plakat pt. „1 Maja“ Zbigniew Kaja zdobył jedną z czterech pierwszych nagród. Dwie II równorzędne nagrody zdobyli: na ogólnopolskim konkursie na plakat pt. „Festiwal Filmów Radzieckich“ Zbigniew Kaja i Jan Olejniczak. W konkursie na plakat propagujący po znanski „Zoo“, Zbigniew Kaja zdobył I nagrodę. Mało też pewno wiemy o innych grafikach, jak o Krakowskim, Jankowiaku, Snielowskim czy Rosiku, którzy stale biorą udział w konkursach i znajdują w nich sporo dobrych ocen.

Tymczasem wydaje się w Poznaniu, jakby na tym odcinku życia artystycznego nie się nie działo, jakbyśmy gdzieś zagubili grafiki i grafików. Jeszcze zbyt dużo rozlecia się brzydkich, nieudolnych i dyktanckich plakatów.

A przecież do świetnej renomy poznanskich grafików dochodzi jeszcze jeden sukces Jana Olejniczaka, który w ub. roku zdobył lokalną I nagrodę za projekt na plakat „Dni Poznania“. (Co prawda projekt ten nie „ujrzał“ światła dziennego i to z nieznanych nam powodów.)

Oto, jakżeśmy w wstępie zaznaczyli w dniu 6 bm. zdumienie członków warszawskiego Jury Konkursu na plakat „Przegląd Filmów Polskich 1944–54“ — nie miało granic.

Z licznych nadesłanych prac wybór padł na trzy opatrzone godłami „Jodko“, „10-lecie“ i „Kolor“. W tej też kolejności projekty zdobyły I, II i III nagrodę. Po otwarciu kopert z nazwiskami autorów okazało się, że jest nim... jeden — Jan Olejniczak z Poznania.

Jest to bezspornie wypadek, jakiego trudno doszukać się w zapiskach konkursów artystycznych. Nie jednak ten fakt był celem ujawnienia go; nie chodzi nam o wskazanie na duże możliwości poznanskich artystów-plastyków, a grafików w szczególności, zwłaszcza że na „rynku“ krajowym dużo się o nich mówi i to jak nałajki.

TAD. H. NOWAK

Z pożółkłych kart pergaminów

Winobraniowe facecje lubuskich rybaków

Mieczysław Turski

Pokryte patyną stulce, po żółte pergaminy lubuskich kronik, podają, iż po raz pierwszy uroczysty obchód Winobrania odbył się w Zielonej Górze (określonej przez średniowiecznego skrybę mianem „Mons Viridis“) w roku 1150. Od owego czasu corocznie w dniu ukończenia zbioru soczystych kiści winogronowych przebiega przez ulice tego miasta barwne, ra-

dosne korowody, a na placach miejskich odbywają się ludowe zabawy. W dobie średniowiecza obchód Winobrania był „pełnym radosnego tumultu zbiegowiskiem ludzi stanu różnego z odległych nawet stron“. Na tę niecodzienną uroczystość zielonogórskich winiarzy ściągali nie tylko mieszkańcy podgrodzia i wsi służebnych grodu, lecz także przybyły z sąsiednich miast, a to Krosna Odrzańskiego, Głogowa, Gubina, Bimostu, niekiedy nawet kupcy z dalekiego Wrocławia i Poznania zjawiający się „nie gwoli uciechy, ale zakupywając wybornego wina z miejscowych łożni“.

Wśród tłumów spieszących do grodu przez bramy wjazdowe w murach obronnych, wyróżniali się barwnymi strojami i wesołymi przyspiewkami rybacy. Owi prapionierzy ludowego teatru, prezentowali pod gołym niebem prymitywną sztukę sceniczną, pełną jeszcze naiwności i rubaszości. Byli oni radośnie witani „szczególnie przez popółstwo miejskie“. W żywym słowie dawali wyraz zaostrzającej się stale walki klasowej

wykpiwając ciętą satyrą w piosence czy dialogu możnych członków patrycjatu miejskiego, a niekiedy nawet potężnych możnowładców świeckich i duchownych, którzy wyszukiwali całkowicie zależną od siebie ludność, nakładali na nią coraz większe brzemie robotnicze.

Facecje owych „igrew“ odgrywane na placach miasta ostro krytykowały mistrzów tkackich zmniejszających wynagrodzenie czeladników, a zwiększających godziny pracy. Docinały „panom rajcom sławetnego magistratu“ chciwym dorobkiewiczom, „panom ławnikom sądu wójtowskiego“ przekupnym przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości, „pyśkatym przekupkom“ oszukującym na towarze, miarze i wadze biedotę miejską, a nawet „hydlowi miejskiemu, co się za wielkiego magistratnika uważał“. Rybacy trzymali rękę na pulsie ówczesnego życia, znali wszelkie bolączki miejskiego popółstwa, które odczuwali zazwyczaj także na własnej skórze. Uprawiali sztukę prawdziwie

aktualną. Stąd właśnie trafiali do serc i umysłów swych widzów, nagradzających ich za słowa prawdy hucznymi oklaskami i przychylnymi okrzykami.

Polscy rybacy, wędrujący wzdłuż Ziemi Lubuskiej, aczkolwiek w sztuce swej wzorowali się na znanych im zachodnich intermedialach oraz typowym odzwierciedlaniu postaci, to jednak wnosili do poszczególnych scenek komizm regionalny, rozwijany na tle o lokalnym koloryte. Przybywając na winobranie, włączali do repertuaru swego własnej kompozycji scenki o fabule winiarstwie, w których wysmiewali przebiegłych właścicieli winnic, szynkarzy fałszujących wino, opojów zakochujących ciżbę nocną miasta albo ekonomów z plantacji stojących w batogami nad robotnikami w czasie winobrania. Zdarzało się, że trupa komedianka ostrzem satyry dotknęła osobę proboszcza czy nawet burmistrza. Wówczas, jeżeli rybacy nie zdążyli cichaczem uciec z grodu, odsiadujący musieli dłuższy czas w lochu więziennym wieść, zwanej Głodową, mając za całodienne pożywienie wyłącznie kawał razowego chleba i dzban wody. Jeden z zapisów miejskich Zielonej Góry z połowy XVI wieku opowiada, iż w czasie obchodu Winobrania występował na placu obok browaru przybyły zespół rybaków lubuskich. W pewnej chwili aktor grający rolę anioła zrzucił z siebie odpowiednią szatę i mając u ramion jeszcze przypięte papierowe skrzydła zaśpiewał piosenkę wyśzydającą znanych z chęci bogacenia się kosztowną biedotą mieszczańską, a mianowicie burmistrza Semlera, aptekarza Lisa, właścicieli kilku kamienic i rozległych łąk — wdowy Jajczynowej oraz innych. Widzowie spośród popółstwa miejskiego śmiejąc się na całe gardło uradowani wysuptywali z kiesek drobne monety nagradzając igrew. Oburzeni patrycjusze miejscy, spoglądający na widokowość z okien domów, spowodowali uwięzienie odwoławcy roli anioła „za obrazę osób stanu czcigodnego i obrazę moralności anielskiej“. Niezadowolony aktor był przez czas dłuższy przymusowym lokatorem podziemnej celi wieży Głodowej.

LESZEK PROROK

O NOSICIELACH

Nie ma tak bystrego człowieka, który by objął wszystkie, które czyni — powiedział Franciszek de la Rocheaucourt, ciekawy francuski pisarz. Żoż w swych cierpkich, pesymistycznych rozważaniach moralnych o naturze ludzkiej.

Maksymie to ilustruje doskonale pan K., którego znów spotkałem niedawno podczas ostatniej „wycieczki“ w Operze.

K. jest cenionym fachowcem jednego z miejscowych przedsiębiorstw. Postawny ten mężczyzna, o sylwetce popularnej na ulicach naszego miasta, bawił się na przedstawieniu wspaniale. Podczas wszystkich antraków wymieniał serdeczne uściski dłoni ze spotkanymi przyjaciółmi i znajomymi. Młodszym panom — jak doświadczałem w palarni — prawil eleganckie uprzejmości, z których jest znany. Panie w wieku średnim rozpytywał z istotnym zaciekawieniem o zdrowie ich pociech, uchodził bowiem za wielkiego przyjaciela dzieci.

W foyer rozczestował ofiarne swe papierosy; skwapliwie podawał wszystkim ogień. Tuż przed opadnięciem kurtyny po przerwie doszedł mnie i pozdrowił ze swego rzędu głębokim ukłonem, podkreślając życzliwość po witania tak bardzo zamaszystym gestem ze kilka osób w krzesłach spojrzało w moją stronę. Nie taję, że ta uprzejma manifestacja człowieka popularnego i lubianego była mi przyjemna.

Po spektaklu pan K. w licznym towarzystwie odpłynął — o ile mogłem się zorientować idąc za nim w stronę przystanku — do „Wuzetu“ lub „Smakosza“ na kolację. Głos jego, niski i miły wibrujący, wzbijał się chwilami ponad szelest kroków i szmer rozmów jakimś rozbrzmiewając o wieczór uspięne ulice w sąsiedztwie Opery.

Przypadek zrzucił że następnego dnia rozmawiałem o przedstawieniu operowym ze znajomym lekarzem-pediatrą. Chwaliłem wykonawców, podkreślałem żywe przyjęcie ze strony publiczności. — Nie masz pojęcia, jak dużo i głośno bił brawo nasz K. — K? — oburzył się rozmówca — to niemożliwe. — Ależ tak, przecież go widziałem. — Musiałeś się omylić. Nie wierzę. Lecz tego dzieci. Właśnie przechodząc szkatułatnie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Klasycznie ostry przebieg. Nie, to na pewno nie był K. Jest na to zbyt poważny i odpowiedzialny by w tym czasie pokazywał się wśród ludzi, skoro nie zachodzi konieczność. Przecież styka się z innymi rodzicami. Rozumiesz chyba, że co najmniej przez sześć tygodni jest nosicielem.

Zrozumiałem od razu, byłem jednak niezupełnie pewny, że się nie myle w niczym. K. był w Operze: jego zachowanie przedstawiłem niezupełnie wiernie. Zresztą ostatnio ktoś ze wspólnych znajomych znów spotkał go na koleżeńskiej herbatce. Był w dobrej formie i jak zawsze ożarował zebranych swa bystrością, inteligencją, wiedzą.

Otóż to właśnie wiedza, wiedza... Jestem przekonany, że w rzędzie swych obywateli i w lostronnych wiadomości K. posiada również znajomość podstaw bakteriologii na poziomie przynajmniej absolwenta szkoły średniej, a nadto bogate doświadczenie życiowe. Gdybym spotkał K. w podobnej sytuacji przed 40–50 laty znalazłby dlan łatwo usprawiedliwienie. Bakteriologia jest nauką stosunkowo młodą, jeszcze młodszą jest popularyzacja jej dorobku. Odkrycia Pasteura. Kocha odbyły się u schyłku XIX i na początku naszego stulecia głośnym echem po świecie a jednak możliwy był przed 1914 rokiem wypadek, który zachował do dziś barwność swej anegdoty. Co prawda przytrafił się w oślawionej ze śmiechu sznorkiem cesarsko-królewskiej armii habsburskiej.



Zachował do dziś barwność swej anegdoty. Co prawda przytrafił się w oślawionej ze śmiechu sznorkiem cesarsko-królewskiej armii habsburskiej.

Zachorował żołnierz zatrudniony w kancelarii pułkowej. Odesłano go do szpitala, gdzie przebywał trzy miesiące. Po upływie tego czasu do dowódcy jednostki pułkownika „von und zu...“ nadszedł list: „Donoszę, że żołnierz X, skierowany z tamtejszego pułku, przebył ciężki przebieg duru brzusznego z pomyślnym wynikiem. Wyżej wymieniony nie może wrócić do służby jeszcze przez przeciąg kilku tygodni gdyż jest wciąż nosicielem bakterii duru brzusznego. Komendant szpitala Z.“

Na pismo to dowódca pułku wystosował odwrotne odpowiedź w której pisał: „Oświadczam kategorycznie, że nie mogę się zgodzić na dłuższe przebywanie żołnierza X w tamtejszym szpitalu. Jako siła sztabowa jest on mi niezbędnie potrzebny w kancelarii pułku. Nie mogę się zgodzić na dalsze użytkowanie nosiciela bakterii duru, może natomiast w tym celu przydzielić tamtejszemu szpitalowi żołnierza bez kwalifikacji“.

Zabawna historia zdarzyła się jednak 40 lat temu. Od tego czasu pogłębia się i poszerza wiedza o nosicielach. Przypuszczam, że K. czytając te słowa jest oburzony zestawieniem go z c. k. ignorantem.

My zapewne także — choć z całkiem innego powodu. Ostatnie nosicielem może być każdy. Odwracając wszakże oburzenie habsburskiego pułkownika możemy rzec, iż nie godzimy się w społeczeństwie na nosiciela bez kwalifikacji. Bez moralnej kwalifikacji.

Osobnik twój naszego K. umiemy bez wątpienia mówić dużo i szumnie o odpowiedzialności przed największą „O“ — zdrowie — być może, gdyby ktoś zwrócił mu uwagę, że to wielkie słowo osacza nas w gąszczu powszedniego życia tysiącami drobnych przejawów że czynniki społecznej, odpowiedzialności składamy na każdym kroku. Czasami nawet w tak niewinnej rozrywce jak wieczór w Operze.

W większości

tematyka współczesna

Nowe opery radzieckie

W bieżącym sezonie teatralnym zespoły operowe ZSRR wystawiają szereg nowych oper kompozytorów radzieckich. Są to w przeważającej większości opery o tematyce współczesnej.

W Moskiewskim Teatrze Wielkim odbywają się próby opery D. Kabalewskiego „Nikita Wierszynin“ (według sztuki W. Iwanowa „Pocłag pancerny“) oraz baletu Chacaturiana „Spartakus“. Kompozytor W. Diechtieriew napisał operę „Najazd“, osnutą na znanej sztuce L. Leonowa pod tym samym tytułem; operę tę wystawi Leningradzki Akademicki Teatr Opery i Baletu im. Kirowa. Opera J. Dzierżyńskiego „Daleko od Moskwy“ ukaże się na scenie Małego Leningradzkiego Teatru Operowego.

Teatr operowy w Nowosybirsku wystawia dwie nowe opery: „Kawaleria Złotej Gwiazdy“ — J. Kiriułowa i „Jermaka“ — I. Morozowa. W Saratowie odbywają się próby opery K. Mołczanowa „Jutrzenka“ (według sztuki Ławreniewa „Przełom“).

Baszkirski Teatr Opery i Baletu pracuje nad inscenizacją opery „Salawat Julajew“ Z. Ismagiłowa, poświęconą bohaterowi narodowemu Baszkirii — Salawatowi. Tatarski Teatr Opery i Baletu w Kazaniu wystawi operę L. Pustynnika „Narsip“ której tematem jest ciężka dola kobiety czuwającej w okresie przedrewolucyjnym. Teatr ten wystawi również balet E. Bakirowa „Złoty grzebień“, osnutą na baśniach tatarskich go poety ludowego, A. Tuka-

Noneszwili Josif

Tłum R. Danecki

Gamardźweba

Gamardźweba! Przyjeżdżajcie do Gruzji, każdy Gruzin z radością was powita! Czeka na was lazur płonący nieba, ojczyzna słońca w owoce obfita!

Góry, podpierając niebo barkami, w papachach zielonych stoją jak straż, kryształowy strumień, tocząc kamień, drogę bezpieczną w górach wam pokaże.

Dalej powiodą was — zapach herbaty, słodki zapach soczystych pomarańczy, i drzewa figowe, przydrożne czaty, którymi każdy podróżny się raczy.

Koło przełęcz, na alpejskiej łacie czaban, pasący stado, w mgnieniu oka na ogniu upiecze wam szaszłyk z owcy, wina naleje ze skórzanego worka.

I niech was nie przerażają przepaście i biegnąca nad nimi ścieżka wąska, idźcie, idźcie wyżej, i w dół popatrzcie — sad jak obłok kwitnących kwiatów wiązka!

Kwiaty zerwijcie, rwijcie tylko piękne, żeby bukiety ułożyć przepyszne, bo do domku w Gori z bukietów pekiem przychodzą zawsze wruszeni przybysze...

Czeka na was lazur płonący nieba, ojczyzna słońca w owoce obfita! Przyjeżdżajcie do Gruzji! Każdy Gruzin z radością was powita — gamardźweba!

Gamardźweba — gruzińskie pozdrowienie.

Na zdjęciu widzimy po lewej (w białej koszuli) najpopularniejszy go liryka gruzińskiego — Noneszwili Josifa z autorem tłumaczenia. W czasie pobytu tego ostatniego zawarli oni przyjaźń. Wrócenia z przepięknej Gruzji, napisane przez R. Daneckiego, będzicie mogli przeczytać w następnym nrze „Nowego Świata“



Łożyska z drewna będą produkowane w Poznaniu

Młody inżynier, Bogdan Karliński, kierownik Biura Konstrukcyjnego W-3 przy ZISPO przeczytał w maju br. w radzieckim czasopiśmie „Wiestnik Maszynostrojienia” ciekawy artykuł A. S. Anosowa, docenta Leningradzkiego Instytutu Politechnicznego im. Kalinina.

KAPITAŁNY POMYSŁ

Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że łożyska, jakby nie było, — zawsze dotąd robiliśmy z metalu (metale kołowe, stal). Tymczasem — jak wynikało z artykułu — nasi sąsiedzi poradziili sobie inaczej. Robią mianowicie łożyska z... drewna i to w dodatku z odpadów fornieru lub trocin. Po prostu prasują te odpady pod wysokim ciśnieniem przy temperaturze około 150 st. wiążąc je klejem bakelitowym. Po takiej „operacji” drewno traci swój charakter i uzyskuje całkiem nowe własności wytrzymałościowe dorównując, a nawet przewyższając pod niektórymi względami stal i metale kolorowe. Próby zastosowania łożysk z tego plastiku drzewnego wykazały niezwykle przydatność nowego tworzywa.

Łożysko takie pracując w silniku samolotowym o mocy 600 KM po 300 godzinach lotu nie wykazało żadnego zużycia (!).

Trudno wprost uwierzyć, a jednak dalsze wywody oparte na wieloletniej praktyce mówią o coraz to nowych rewolucjach. Łożysko z plastiku drzewnego jest około 6 razy lżejsze niż podobne łożysko metalowe, poza tym — jest kilkanaście razy odporniejsze na ścieranie, raz przesycone olejem — pozwala na znaczne oszczędności smarów.

KWASY I ZASADY — NIE SZKODZĄ

Chyba już dosyć! Otóż właśnie, że nie. Wymieniliśmy tylko z grubsza część zalet nowego tworzywa. Trzeba by jeszcze powiedzieć, że osie metalowe pracując w łożyskach z plastiku drzewnego, nie ulegają uszkodzeniu o ile maszyna pracuje w ostrym pyłu i kurzu, ponieważ pył dostawia się do wnętrza łożyska wbiła się w nie jako w materiał bardziej miękki. Stąd niesłychanie cenne może być zastosowanie tych łożysk np. w Poznańskiej Fabryce Maszyn Zręcznych — przy produkcji maszyn rolniczych. Z tych samych względów, a także z powodu idealnej możliwości smarowania (o czym już wspominaliśmy) łożyska te wspaniale nadają się do wszelkiego typu maszyn w przemyśle spożywczym, tekstylnym, włókienniczym, drukarskim itd. itd. Dla całości obrazu dodajmy jeszcze, że łożyska z plastiku nie zastąpione są przy pracy w wysokiej temperaturze (suszarnie) oraz odporne są na działanie kwasów i zasad.

W ZISPO JUŻ W 1955 r.

Czyż można się dziwić, że inż. Karlińskiego opanowała myśl aby spróbować uruchomić podobną produkcję u siebie w ZISPO? Odpowiedźcie sami.

W krótkim czasie kolektyw złożony z inż. Karlińskiego, inż. Samka i znanego racjonalizatora, posła na Sejm, ob. Januchowskiego, wspólnie

przeanalizował jeszcze raz to zagadnienie. Porozumiano się z prof. Perkitnym — pierwszym polskim specjalistą w tej dziedzinie, który obiecał pomoc — i po stwierdzeniu celowości, a równocześnie możliwości produkcji w Zakładach ZISPO, przedstawiono całą sprawę dyrekcji.

W chwili obecnej przygotowuje się już poszczególne urządzenia do pierwszej w kraju produkcji łożysk ślizgo-

wych i innych elementów z plastiku drzewnego, która — jak wszystko wskazuje na to — ruszy z początkiem przyszłego roku.

Obecnie inicjatorzy zastosowania pomysłu radzieckiego czynią starania, aby porozumieć się z Leningradzkim Instytutem Politechnicznym im. Kalinina w celu uzyskania bezpośredniej pomocy radzieckich przyjaciół.

Henryk Rawski



Kukurydza wchodzi do krajo-
brazu naszych pól. W przyszłym roku ujrzymy ją na naszych polach od Karpat po Bałtyk. Karierę swą w naszym kraju (i nie tylko naszym) kukurydza zawdzięcza może... stoncom ziemniaczanej. Historia to prosta, ale nie obejście się bez dziejów wędrowki ziemniaka.

Ameryka Południowa jest ojczyzną ziemniaka. Z Peru np. przyszedł do nas poznany „perki”. Ameryka Północna jest wyłęgarnią żuka z Kolorado.

Kiedy Indianie południowo-amerykańscy zjadali się ziemniakami, Indianie Ameryki Północnej nade wszystko smakowali w kukurydzy. Uprawiali ją i nawet hodowali, tzn. różne jej odmiany krzyżowali, z czego powstawało coraz dorodniejsze ziarno.

SPOTKANIE Z WROGIEM

W 1560 r. ziemniaki przyjechały do Europy. Przywieźli je odkrywczy nowego lądu, jako „owoc” nieznanego i drobnego, ale przysmak królewski. Dłuszy też czas jedynie na magnackie stoły podawano owe rarytasy. Nie więc dziwnego, że w Europie zaczęto uprawiać je najstaranniej. Powstały odmiany pełne, smaczne i wielozłotytkowe (zaczęto pedzić z nich spirytus, robić krochmal). Ziemniaki stały się też wkrótce podstawą wyżywienia ludności ubogiej: ch opstwa i plebsu.

Dopiero w 1719 r. powędrowały — już uszlachetnione — z Europy do Ameryki Północnej. Tam miały swój okres świetności. Wielu farmerów odebrało ziemię kukurydzy, a oddała ją ziemniakom. Triumfalny od wschodu ich pochod dotarł do Gór Skalistych. I tu zaczęła się tragedia. Tu ziemniak w 1668 r. natknął się na gangstera — na żuka z Kolorado. Żuk ten żywił się dotychczas chwastami z rodziny psiankowatych (do psiankowatych należą — też ziemniaki).

Teraz maleńki żuk uderzył na pola ziemniaczane. Pienił się też niewiarogodnie szybko. A na zniszczenie np. hektara ziemniaków starczy pierwsze pokolenie z 20 par tego chrząszcza.

Kiedy już znalazł się w Europie (w Le Havre w 1919 r.) bywało, że chmarami jak szarańcza zasłaniał słońce. Francja użyła radykalnych — jakby się zdawało — środków owadobójczych. Lecz chaotyczne, wieloletnie boje ze stonką doprowadziły w pewnych okolicach do śmiertelnego zatrucia gleby, która w końcu nie mogąc rodzić — ugorowała.

NAJWIĘKSZY PŁON Z... DEGENERATÓW

Stonka nie rusza kukurydzy. Przypomnianno więc sobie o „narodowej roślinie”. Ale kukurydza trzymała się południa. Na północy nie dojrzewała. Dawne ziemniaczane pola czekały na nią. Dopiero jednak po latach żmudnych starań udało się wyho-

dować odmiany „północne”. Zea mais (łacińska nazwa kukurydzy) objęła panowanie nad całym terytorium Stanów Zjednoczonych, a nawet przeszła do Kanady.

Zadziwiające są niekiedy „kaprysy” roślin i niezwykle drogi ludzkiego nad nimi zwycięstwa. Powiedzmy kilka słów o takiej właśnie historii zadziwiającej:

Pewien hodowca, którego nazwisko pisze się: Jones, a czyta się: Dżons, zaczął w 1917 roku... degenerować kukurydzę. Jak, po co? Posuchajmy. Ta bodaj największa z traw (kukurydza należy do traw w systematyce roślin), ma, jak wszyscy chyba widzieli, u szczytu wieńców kwiatów „męskich”, a w pochwach liściowych tzw. kolby, z których wysuwają się długie „wasy” — znamiona żeńskie. Jeśli tedy pyliem kwiatu męskiego zapłodnimy kwiat żeński tego samego krzaka, to z wysianego potem ziarna urośnie roślina jakas „nieudana”, słaba i karłowata.

Ale teraz następuje dziw nad dziwy. Oto skrzyżowanie dwóch takich degeneratów daje ziarno, z których w następnym roku wyrasta potomstwo niezwykle bujne, wysokie i dorodne. Zjawisko to ma naukową nazwę — heterozja. Tak dzieje się w świecie roślinnym i zwierzęcym.

Metodę Dżonsa zaczęto stosować do produkcji nasion kukurydzy na wielką skalę. Z racji podwyżki plonów i, oczywiście, zysków — mógł prezydent Roosevelt oświadczyć pewnego razu w senacie, iż z owej zwykłej plonów kukurydzy pokrywa się w Stanach Zjednoczonych wszystkie wydatki, związane z całą (i) nauką.

Wkrótce również w Meksyku zaprowadzono krzyżowanie degeneratów. Plony kukurydzy podniosły się o... jedną trzecią.

U nas, na gospodarstwie doświadczalnym w Skierniewicach, prof. Malinowski (znany genetyk) bada z ramienia PAN tajemnice heterozji. Profesor zebrał tu największą w kraju kolekcję kukurydzy — ma już przeszło 200 odmian krajowych i zagranicznych. Wyjaśnijmy od razu, iż praca prof. Malinowskiego dotyczy tylko wniosków naukowych, nie jest więc nastawiona na produkcję użytkową.

Tym bowiem zajmuje się Instytut Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, a szczególnie dwaj fanatycy-kukurydzyści: inż. Andrzej i prof. Nadwyszewski z Wrocławia, którzy od osiem lat po uszy siedzą w tej hodowli.

WODĘ PIJE JAK SMOK

I HAR zdołał wyhodować odpowiednie dla naszego klimatu odmiany tej królowej traw i zbóż (zboża są również trawami) tak, że możemy kukurydzę uprawiać teraz wszędzie w Polsce, a więc nie tylko w województwach południowych. Np. w województwie olsztyńskim, gdańskim, koszalińskim, szczecińskim i nawet w górach ponad 400 m nad poziomem morza obrodzi i dojrzeje „Dar Północy” (pastewna). Dojrzejże również „Ryżowa Puławska” (jadalna, lecz jeszcze mało plenna, bo daje średnio 30 q z 1 ha).

Zea mais bez wątpienia warta jest najwyższego naszego zainteresowania. Uduje się na każdej prawie (ale czystej — bez chwastów) glebie. Nie lubi tylko suchej rego piasku, żwiru i mokradeł, chociaż wodę pije jak smok. Jeden krzew „wypije” w ciągu swego krótkiego żywota... 200 l. Potrafi jednak dać w porównaniu z innymi zbóżami — plon oszałamiający.

Wysokość zbiorów, nawet w prymitywnych chłopskich warunkach dochodzi do 40—50 kwintali ziarna z hektara. A ileż wynosi orzecniety zbiór ziarna naszych zbóżowych? — 12, 15 kwintali. Kiedy gdzieś (bodaj na Zuluwach) zebrano z hektara 40 kwintali pszenicy — wszystkie gazety i radio trąbiły, że to wspaniały i niezwykle. Trąbił tak także pochwały kukurydzy? O niej do tej pory, niestety, ani mru-mru.

SZKODNIKI NIE ATAKUJĄ

Wiec pomówmy o jeszcze innych jej zaletach. Oto kukurydza niewiele ma, jak dotychczas, wrogów w świecie przyrodni-



„Najmłodszy kierowca”

Prawdziwą atrakcją dla miłośników Chociwelu (powiat Siargard) jest „Illipud” — półciężarowy samochodzik, którego kierowcą jest Witek Klepcewicz, liczący 3 i pół roku, syn racjonalizatora z Warszawy Mechanicznych. Miniatury rowy samochod, zbudowany przez ojca Witka, posiada motor, skrzynię biegów, dyferencjały, trzy biegi. Pali dwa litry benzyny i może rozwijać szybkość 5 km na godzinę. Na zdjęciu: spacer samochodem z kolegami.

CAF. — fot. Podolski

Niebywałych rozmiarów waza „Przyjaźń”

Leningradzka fabryka artystycznych wyrobów szklanych wykonała przepiękną wazę kryształową, której nadano nazwę „Przyjaźń”. Symbolizuje ona przyjaźń radziecko-chińską.

Waza, której projekt opracowali artyści radzieccy — Smirnow i Lipska — ozdobiona jest połączonym brązem i szkłem rubinowym. Wieniec ją rubinowa gwiazda, okoloną snopami słońca, kłosa winogron i gałązkami bawełny. U podstawy widnieją gołębie — symbol walki o pokój.

Na wazie znajdują się też godła państwowe ZSRR i Chińskiej Republiki Ludowej oraz wizerunek moskiewskiego Kremla i jednego z pałaców Pekinu.

Wysokość wazy wynosi przeszło trzy metry, a jej waga — około trzech ton.

Odkrycia, których nie było

Ogólnie biorąc, skończyła się już era odkryć lądów i wysp w regionach arktycznych. Z drugiej strony, minęły właśnie cztery lata, gdy na północ od Zatok Hudsonskiej (w kanale Foxa), znaleziono dwie małe wyspy długości mniej więcej 150 km, które otrzymały następnie nazwy Wysp Księcia Karola.

Zdarza się również, że raz odkryte wyspy czy lądy okazują się jedynie fikcją: pomyłką, że bądź z lodowcami, bądź też odkrywczy ulegali złudzeniu światłemu. Tak stało się w roku 1707 z lądem odkrytym przez Holenderczyka Corneliusa Gilesa, leżącym na wschód od Spitzbergen i zaznaczanym na mapach nazwą Ziemi Gilesa. W późniejszych latach wspomnianego lądu nie udało się już ujrzeć. Jest zresztą możliwym, że ląd znany pod nazwą Ziemi Króla Karola (odkryty przez Eriksena w roku 1853) omyłkowo uważano jako Ziemię Gilesa. Temu złudzeniu uległ również początkowo wspomniany Eriksen. Warto wspomnieć, że raport o odkryciu Ziemi Króla Karola, leżał przez okres 72 lat w archiwach i dopiero przypadek wydobyl go na światło dzienne.

Podobnie miała się sprawa z Ziemią Sannikowa, którą Rosjanin tegoż samego nazwiska odkrył w roku 1811 na północ od Wysp Nowosybirskich. Późniejszy geolog rosyjski Toll, przyjął ten fakt jako pewny i wierzył w istnienie nowego lądu. Dopiero po stoczterdziestu latach, przebywając w tych okolicach ekspedycja radziecka udowodniła, że Ziemia Sannikowa w ogóle nie istnieje. Natomiast w roku 1940 dalsza

ekspedycja radziecka przebywająca w północnej części Oceanu Lodowatego napotkała łańcuch 35 wysp, nie oznaczonych do tej pory na żadnej morskiej karcie.

Bardzo ciekawa jest historia wyspy Bouvet, leżącej w Antarktydzie (biegun południowy), która w roku 1739 otrzymała imię o nazwisku admirała francuskiego Bouvet. Na próżno szukał jej w roku 1772 znany odkrywca angielski Cook. Drugi z kolei Anglik, nazwiskiem Lindsay wyruszył w roku 1808 do tej części świata i zidentyfikował ją z relacjami Bouveta. Dziewięćdziesiąt lat upłynęło zanim na wyspie Bouveta stanęła po raz wtóry nogi ludzka. Jej istnienie potwierdziły oraz pozycję ustaliły niezliczone dwie niemieckie ekspedycje, jedna zorganizowana w r. 1898 oraz druga w dwadzieścia osiem lat później.

Istnieją a raczej pozostały jeszcze w historii odkryć nieznanymi lądów wyspy, których w ogóle nie można już znaleźć. Tak miała się sprawa z wyspami Douglasa, odkrytymi w roku 1930 przez Mewsona. W cztery lata później zniknęły one bez śladu, podobnie jak odkryta w roku 1934 przez Norwegów wyspa Thorshammer. Poszukiwano jej bez rezultatu w roku 1947. Wypada jeszcze wspomnieć o wyspie Nimroda, odkrytej w roku 1828. Szereg wypraw przedsięwziętych od roku 1831 nie mogło jej znaleźć. Ostatnia ekspedycja zorganizowana w tym celu w roku 1947 posługiwała się nawet w swych badaniach radarem, lecz bez żadnego pozytywnego wyniku.



Najpierw poddano je wielu próbom: w zimnej wodzie, potem w gorącej i wreszcie w gorącej oliwie. Plastik drzewny wykazał tak minimalne odchylenie w poczynieniu na dłu gość, szerokość i grubość, że... drzewo dało się przekonać o swej pierwszorzędnej przydatności do produkcji łożysk.

Tu i tam

ŁODZIA DO AUSTRALII wybrała się pewien Tyrolczyk wraz z żoną i kilkoma znajomymi. Przedsiębiorczy zeglarz wraz z kilkoma ludźmi zbudował sobie łódź długości około 14 metrów, z silnikiem 18 KM i ożeglowaniem o powierzchni 77 m kw. Wyprawa wyruszy w tych dniach z Wenecji przez Kanał Sueski do Cejlonu, Singapuru i Nowej Gwinei, aby zakończyć się w Sydney.

FONTANNA WODY KOZANEJ skrapiała widzów odwiedzających pawilon bugarski na Targach Lipskich. Zapach olejku kozanego, wytwarzanego masowo w Ludowej Republice Bułgarskiej, wypełniał całą wystawę. Prócz olejku, owoców, tytoniu kraj ten wystawiał także różne artykuły techniczne i maszynowe. O 493 procent wzrosła produkcja przemysłowa Bułgarii od roku 1939.

BALON PORYWA CHŁOPCA. W Angers we Francji balon na wlewie, do którego gondoli dostał się 10-letni chłopak, skutkiem podmuchu wiatru urwał się z lin i wzbił się w górę, unosząc ze sobą małego pasażera. Dopiero po wielu godzinach poszukiwań znaleziono balon w odległości około 20 kilometrów. Chłopca — na szczęście — nie się nie stało.

NOWE OPONY SAMOCHODOWE wprowadzone do ruchu próbnego w Czechosłowacji posiadają przekładnię z tkaniny bawełnianej, wzmocnionej tkaniną z syntetycznego silonu. Opony są elastyczniejsze i mocniejsze niż zwyczajne.

KSYLOFONOWY INSTRUMENT MUZYCZNY, uznany za najstarszy na świecie, wykopano niedawno w Indochinach.

DIONIZY DIDEROT, twórca słynnej „Encyklopedii” urodzony w roku 1713 w Langres jako syn biednego rzemieślnika, zmarł 170 lat temu. Już za życia stał się jednym z najświatniejszych ludzi świata. Obok Woltera i Rousseau był Diderot szermierzem nowych poglądów, które niebawem przyspieszyły wybuch rewolucji francuskiej. Jego encyklopedia jest apoteozą ludzkiej nauki, sztuki i przemysłu, ludzkiego rozumu i pracy. Diderot walczył przez całe życie z zacofaniem i obskurantyzmem. Współpracował z nim w stworzeniu wielkiego dzieła najwybitniejsi uczeni ówczesnych czasów, jak Wolter, d'Alembert, Buffon, Condillac, Marmontel, Helwecjusz, Turgot i wielu innych.

KRADZIEŻ JACHTU. Byli pilot hitlerowskiego lotnictwa Reinhardt z kilku innymi Niemcami (w tym 2 kobiety) z Düsseldorfu, wybrał się na niewielkiej łodzi w awanturniczą podróż, aby po licznych przygodach znaleźć się w francuskim porcie Cherbourg. Stał tu na kotwicy prywatny jacht Orion. Awanturnicy dostali się nań w nocy i odpięli w nieznanym kierunku. Zorganizowany pościg pozostał jak dotąd bez rezultatu.

SKAMIAŁE RYBY, jakie znaleziono niedawno w pewnej skale norweskiej, mają nie lada wiek: 350 milionów lat. Rybki w liczbie 60, posiadają długość ok. 1 cm. Są tak dobrze zachowane, że nawet można rozpoznać sznurki nerwów, wychodzących z okolicy głowy.



Dumnie kroczą bojownicy o wolność swej ojczyzny — Goa pod sztandarem Indii dla oswobodzonego Nagar Haveli na północ od Bombaju.

Coraz większy ruch oporu wzrasta w tym niedużym kraju o 384 km² powierzchni i 40 tysiącach mieszkańców. Do niedawna starczyli portugalskie siły policyjne, dla tłumienia powstańczych akcji; teraz kolonizatorzy zmuszeni są do wzmocnienia garnizonów wojskowych, gdyż sztandar Indii wznosi w Goa coraz więcej silnych rąk ludu, który doświadczył ich metod kolonizacyjnych. (n)

JESIENNE LIŚCIE



Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego wielu ludzi uważa jesień za najsmutniejszą porę roku. Osobiście bowiem twierdzę, że daje ona bardzo dużo powodów do szczerego śmiechu. Jak tu bowiem nie śmiać się, gdy się widzi, że o zmroku, który z każdym dniem coraz wcześniej nastaje — ulice w wielu punktach miasta zupełnie są nie oświetlone. Albo gdy w słoneczny dzień pałą się przy bramach domów lampki orientacyjne, które wygasza się... wieczorem. Można boki zrywać na widok lamp regulujących ruch na skrzyżowaniu ul. Ratajezaka i Armii Czerwonej: latem, w blaskach słońca, lampy te „pracowały” bardzo intensywnie; teraz, kiedy coraz mroczniej, zgasty zupełnie. Być może, prawda?

Ale znam jeszcze lepszy kawał. Zegar uliczny na Rokossowskiego (na wprost parku Kasprzaka) chodzi dosyć dobrze, podobno cechuje go nadzwyczajna dokładność. Szczególnie wieczorem, bo wówczas niesposób zobaczyć z daleka, którą wskazuje godzinę.

Jesień, „ta smutna, załamana”, to raj owoców. Ludzie, nawet na ulicach ruszają żuchwami, wchłaniając jabłka, gruszki, śliwki.

Pani St. G. z ul. Granicznej wróciła do domu mocno potłuczona. Już na progu zawołała zbolalym głosem: dzieci kochane, oto mamy jesień! Przewróciłam się jak długa na chodniku. Posliznęłam się na ogrzku po jabłku. Tak, to już jest jesień.

W Poznaniu wita się złotą jesienią szczególnie pięknie.

Oto nieczynny wiosną i latem wspaniały wodotrysk w parku Kasprzaka tryska własnie, z nastaniem coraz krótszych dni, fontannami wody... ku nieście coraz rzadszych już w parku spacerowiczów.

Ano, jesień. Widać ją w witrynach sklepów, w których pojawiły się masowo cieniutkie skarpetki dla dzieci, lekkie tkaniny, o które tak trudno było w upalne dni lata. Jesienne raidy cieszą się w Poznaniu dużą frekwencją. Biorą w nich udział prawie wszystkie mamusie, które szukają dla swych niemowląt rajstów i ciepłych filcowych bucików. Zwycięzcami raidu jesiennego, która pierwsza znalazła w mieście sklep... z jedną choćby sztuką poszukiwanego towaru, staje się potem najpopularniejszą osobą Poznania.

Widać ją, jesień, w restauracjach, które teraz umieszczają na spisach potraw różne chłodniki i orzeźwiające zupy. Nareszcie mniej spożywamy gorących rosółów, na które poczekamy do lata przyszłego roku.

Miłośnicy sportu, a szczególnie piłki nożnej, skaczą pod niebo z radości, że już jest jesień. Poumierani w swetry i szaliki zbierają się na widowiskach boisk, i, mimo zimna, cieszą się... pełnią sezonu piłkarskiego, który kończy się na śniegu. A tak nudno było na boiskach latem. Nie ma to jak jesień.

Zaiste, bardzo to wesoła pora roku, taka pocieszna, tak dużo w niej powodów do śmiechu. Nawet rozrywki kulturalne stają się coraz ciekawsze: wypowiada się na przykład sale poznańskiemu Teatrowi Satyryków. Żeby nie mieli gdzie grać i poszli na jesiennie-zimowe leże.

Powiedzcie mi więc, proszę, czy jesień istotnie jest najsmutniejszą porą roku? Gdzie tam!



— Tak, tak, mąż się dobrze stara

Kwiaty jesieni

I purpurowe są, i herbaciane
Wśród kwiatów najpierwsze i
uwielbiane.
Gdyś chłopem jest na schwał, nie
czekaj dłużej
I złóż Twojej lubej piękny kwiat
roży.



Gdy Ciotec, mój miły, radość
chcesz sprawić,
Na popołudniową idź do niej kawę.
Lecz przed tym koniecznie, dobrze
to wiemy,
Kupże w kwiaciarni kwiat chryzantemy.



Jesienią też kwitną i inne kwiaty,
Lecz te już są plagą dla biurokraty —
A rosną w spółdzielni „Pionier”
w Krakowie,
Bo klej jej biurowy ma pleśń na sobie.



Rysunki: H. Derwich
Teksty: T. H. N.

JESIEN

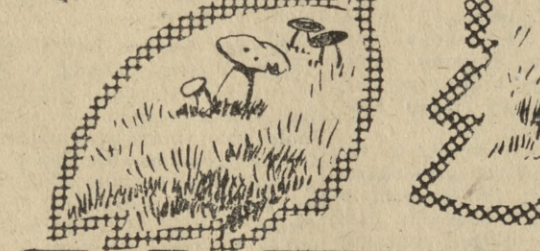
„...i wtedy tatuś wziął kapelusz, palto i wyszedł. Mama nic nie powiedziała, tylko kazała mi się do zadań szkolnych. Pisałem właśnie to wypracowanie domowe o jesieni, gdy nagle usłyszałem zgrzyt w zamku u wejściowych drzwi. Już na progu pokoju powiedział tatuś do mamy:

— Miałas rację, Ireno, obszedłem chyba 6 takich punktów i nic nie załatwiłem. Wszędzie mówiono mi, że dopiero co najmniej za osiem tygodni będą mogli wykonać zlecenie.

Wobec tego tatuś z mamusią postanowili kupić mi nowe palto, chociaż to, które mam, jest zupełnie dobre. Potrzebuje tylko chemicznego czyszczenia. Ale czyszczenie w Poznaniu mogą dopiero w grudniu zwracać wyczyszczone odzież.

Mamusia zmartwiła się bardzo o tym nowym kosztem nowego palta, ale tatuś wytłumaczył jej, że:

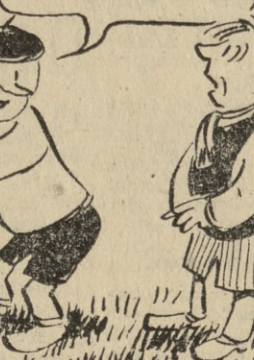
— Ano, cóż, jesień wymaga zawsze więcej wydatków...”



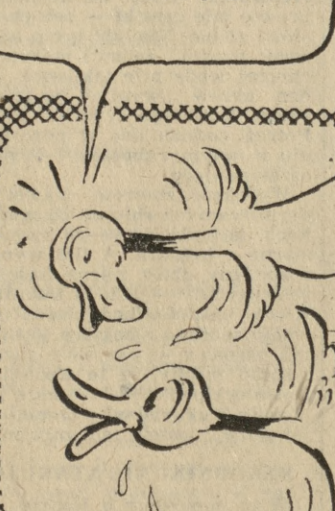
-MAM DLA CIEBIE MIKĄ NIESPODZIANKĘ !!..



-ZOBACZ, JAKI STARY GRZYB



- AAA...? TERAZ ROZUMIEM: OBNIZKA KOSZTÓW WŁASNYCH?!



„JESIENNA NIESPODZIANKA CHVILIGANA”

